NUMER 5. DNIA 4. LUTEGO 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

JÓZEF JEDLICZ.

OJCOWIE.

Rano.

Biała stokroć, zielone pręty, blade cienie,
Cichy żar upojony swym własnym urokiem;
Złotych jaskrów na bagnie wilgotne płomienie,
Świeża zieleń — pachnące kwiaty nad potokiem —

Srebrzysty deszcz wiosenny, niby pereł struga,
Mży miłośnie w mieniące mgły, na łan zielony —
Jasny owies wykwita w mrocznych bruzdach pługa,
Promienny blask na deszczu drży jak ptak spłoszony.

W dali Ojce umarli idą pustem polem —
Kroczą w świetle pustkowia schyleni i cisi,
Wśród modłów świeży zagon obchodzą półkolem,
By odegnać zarazę, co nad łanem wisi...

Z dalekich siół wciąż siwe unoszą się dymy,
Powiew trzęsie badylem uwiędłej paproci —
W białych mgłach kroczą sennie umarłe olbrzymy,
Deszcz ustał — słońce coraz ogniściej się złoci.

Cisza słoneczna.

Sad zawodzi, jak we śnie, melodją miłosną;
Przez sen westchnęły śpiewnie zielone jabłonie.
Taka cisza, że słychać wkrąg, jak drzewa rosną,
Lśniące obłoczki w modrym toną nieboskłonie — —

W mrocznym sadzie usiada Ojców tłum dostojny,
Drzemią w ciszy — a powiew pieści śnieg ich włosów,
Czasem spojrzą półsennie w pole, kędy znojny
Idzie chłop wśród roniących kwiecie sianokosów...

Naraz w progu rzeźbionych, staroświeckich dźwierzy
Stanie dziecko i patrzy w drzewa, w głusze śniące:
Ujrzy dziwne postaci — ledwie oczom wierzy
I nazad w dom się cofa nieme, lękiem drżące...

Bo dziecko pomni dużo starych, dziwnych bajek!
I wie, że raz, gdy w górę darło się ukradkiem,
Znęcone skrytem w liściach gniazdem ptasich jajek,
Ktoś wsparł je przerażone, chroniąc przed upadkiem...

Stróżowie.

Gdy w nocy szatan czyha na polnych obszarach,
Chroni śpiące umarłych Ojców lud skrzydlaty;
Zasię w letnich, dyszących ogniem, złotych skwarach
Ojcowie jak anielscy stróże strzegą chaty — —

Już bursztynem szumiącym trysnął badyl zbożny!
I hymnem dobrej wieści dzwoni kłosów morze!
Już idą w pole dzieci i gazda pobożny
I żona z sierpem kroczy w dziękczynnej pokorze — —

Lecz chata nie zamknięta — — i ciemne stodoły
Śnią bezpiecznie otworem, gdy gazda odchodzi —
Jeno szparą w boisko lecą złote pszczoły,
Lecz nie wejdzie w obejście człowiek zły ni złodziej...

Czcigodne duchy Ojców zostają tu w domu
Czuwać nad opuszczoną wieśniaczą zagrodą! —
I nie pozwolą w progi wedrzeć się nikomu
I chronią mroczne strzechy przed ogniem i szkodą...

Letnie Południe.

W złocistych, nieruchomych spoczynkach południa,
Gdy droga pusta, jakby siołem przeszedł pomór;
Gdy słońce wisi nieme i wieś się wyludnia:
Duchy Ojców wychodzą cicho ze swych komór...

Opuszczają swe mroczne, tajemne przybytki,
Idą chyłkiem pod strzechę, milcząco i tajnie,
I patrzą niemo w rolne płody i pożytki,
Tykają starych pługów, pilnie patrzą w stajnie —

I kroczą siwowłosi i od skwaru płowi
Ku drzwiom chaty gazdowskiej, wchodzą w nieme progi,
Patrząc w głąb — błogosławią pustemu domowi
I o łaskę błagają stare, dobre bogi — — —

I dziękują im kornie za dni krótkiej słoty
I bezcenny dla żniwa czas złotej posuchy —
I śmieją się uśmiechem dziecięcej prostoty —
A cichy wiew wydyma ich długie kożuchy. —

Pługi.

Wśród starych lip, w zielonej baśni księżycowej,
Gdy pnie lśniących jabłoni rzucają cień długi,
A srebrny powiew trąca w twarde głusz okowy —
Leżą dwa opuszczone, stare, rdzawe pługi.

Ich martwe ciała objął urok ciszy święty
I otulił w grób mroku ich rdzawe lemiesze;
Wid-księżyc sypie z góry gwiazdy-dyamenty
I z wystygłych w martwocie radeł ognie krzesze...

A duchy starych Ojców, co mieszkają w strzesze,
Ślą ku nim z mroku stodół miłosne uśmiechy,
Żal tajemny pobudził w nocy ojców rzesze,
I szept błogosławieństwa idzie ode strzechy...

— O druhy dni minionych, święte, rdzawe pługi,
O kiedyż dumnem skrzydłem w niebios oddal szczytną,
Wzlecimy, by przeorać one modre smugi,
Gdzie kiedyś nowe słońca i gwiazdy zakwitną!...

Bernardo Canaletto.

Wśród całej plejady obcych malarzy na dworze Stanisława Augusta zjawia się „il Conte“ Bernardo Belotto, zwany Canaletto. Wyrósł na gruncie weneckim. Jak wszyscy wówczas, tak i on był artystą wędrownym. Z Wenecji powędrował do Rzymu, z Rzymu do Wiednia, z Wiednia do Drezna, z Drezna do Anglji, po powrocie stamtąd został członkiem Akademji sztuk pięknych w Dreźnie, a z Drezna udał się do Warszawy, gdzie na stałe osiadł i tutaj też umarł.

Wszystko, co miało trochę ciekawości wówczas, trochę chęci wiedzy, wszystko jeździło. I wszystkim tym podróżnikom chodziło o jakieś trwałe wspomnienie, o jakiś obraz tych miejscowości, w których w swych podróżach przebywali. Toteż powstało wówczas całe morze kupfer - sztychów, przedstawiających najrozmaitsze okolice świata, zjawiło się mnóstwo malarzy, którzy się temu przedmiotowi głównie poświęcali. Najtęższi z nich to Antonio Canele i Guardi. Canaletto umiał im sprostać. Jego widoki miast to nie są nudne, architektoniczne notatki. To wszystko, co nazewnątrz charakteryzuje życie miast, to wszystko ręką prawdziwego artysty zastało zanotowane. Widać na nich całą ówczesną przeciwstawność, cały dystans między dworem i arystokracją, a gminem. Po placach i ulicach przewijają się żebracy, przekupnie rozkładają swe kramy, przesuwają się żydowskie typowe postacie, jadą wozy naładowane sianem niezmiernie wysoko — a wśród tego całego gwaru, po tych placach i ulicach, otoczonych wysokimi domami z mansardami, zdobnych w kolumny i posągi, często odrazu przechodzących w łąki, urwiska, bagna, zgoła nieuprawiane zakątki, przewijają się pyszne karoce, rzeźbione do klamki, koła i dyszla, zaprzężone w dwie i trzy nawet pary koni, z hajdukami z przodu i z tyłu; wewnątrz zaś widać to obrzękłe, czerwone na twarzy postacie z pudrowaną peruką, w kolorowym jakecie, z żabotem na szyji, w pończochach i mesztach — to chude rzadziej, chytre, intryganckie, a tak samo odziane, zawsze pełne dostojności i przepychu.

Belotto był pejsażystą tedy. Nie mogły go nie zastanowić krajobrazowe problemy, do których w pierwszym rzędzie należy problem tonu światła. Widział on, jak ono jest białem, srebrnem, widział, że cień na drodze nie jest brunatny, ale zimny. Obrazy jego przybrały ton szary, srebrzysty. W obserwacji swej i w swojej technice nie był wcale drobiazgowy. Notował wielkie płaszczyzny światła i cienia, a notował je szerokim pendzlem. Obrazy swe malował zawsze na wielkich płótnach, a sztychy, które sam z wielu swych obrazów porobił, mają olbrzymie rozmiary.

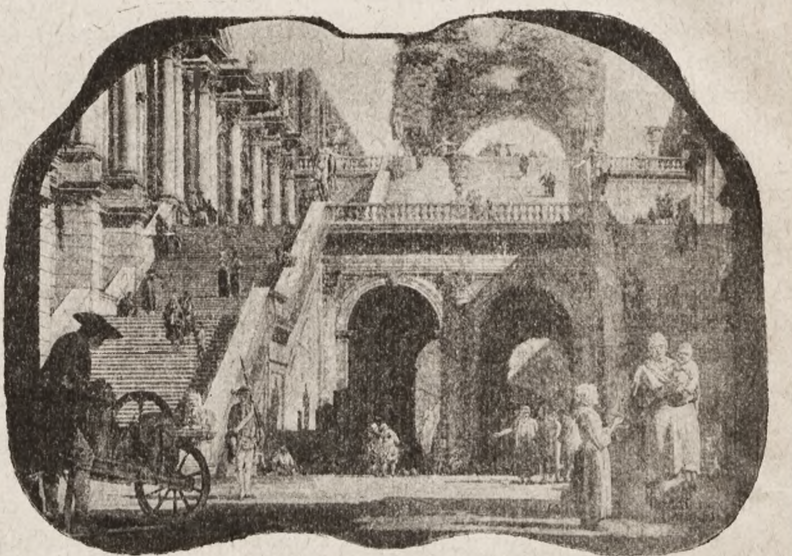
Świetny to tedy impresjonistyczny kronikarz swego czasu. Jak będąc we Wiedniu notował życie i ruch Wiednia, zwłaszcza Belwederu, jak tam w przepysznym sztychu zanotował scenę teatralną „Le Turc Genereux“. Ballet Pantomime executé sur le Theatre près de la Cour l. 6 Avril 1758 par Bernardo Belotti dit Canaletto, Peintre de S. M. le Roi de Pol. Elec. de Saxe 1759 — jak będąc w Dreźnie notował widoki jego z jego ruchem — tak i w Warszawie niezmordowanie pracuje nad „Prospektem placu przed XX. Bernardynami w Warszawie, biorąc z nad Bramy krakowskiej“. I dodaje na sztychu: „Obraz, z którego to sztychowano jest u Króla JMci. Ten prospekt jest malowany

i sztychowany przez P. Bernarda Belotto de Canaletto, Malarza J. Królewskiej Mości A⁰ 1771.“ Potem maluje, a z obrazu swego sztychuje „Widok Warszawy od pałacu sapieżyńskiego, aż na koniec Solca y daley aż do Zamku Willanowskiego z częścią miasta Pragi po drugiej stronie Wisły, malowany w r. 1770 przez Bernarda Belotto de Canaletto a przez niego sztychowany w r. 1772“. Potem „Prospekt Warszawy od pałacu ordynackiego aż do Zamku z częścią Pragi za Wisłą. Malowany w roku 1772 przez Bernarda Belotto de Canaletto y przez niego sztychowany r. 1774“. Widać tu i kościół św. Krzyski i Pałac Wojewodziny Podlaskiej i Kazerny Kaźmirzowskie i kościół panien Wizytek a na pierwszym planie żebrak - zakonnik, dwie zakonnice, dwaj myśliwi z chartami, wieśniaczki, krowy, kozy, świnie; dalej widać „polskie drewniane budownictwo“ wśród drzew i daleko ciągnące się ostatnie plany. Dla króla maluje dalej cały szereg supraport na zamek przeznaczonych (dziś w Dreźnie) i saski pałac przedstawiających, pyszne jego kolumnady, portyki, olbrzymie wschody, strzyżone aleje a wszędzie stoją lub wiercą się gwardziści, strojne damy, żebracy, domokrążca ostrzący noże, przepyszne figury książąt kościoła, uczonych.

A zarazem każdy z tych obrazów to problem światłocienia interesująco wzięty, w rezultacie dający wielkie plamy światła, obok wielkich szerokich plam cienia. Było to bowiem usposobienie na wskróś malarskie, a sztuka jego była ogromnie ożywczą. Wśród tych supraport znajdowały się i inne, alegoryczne. Te miał malować wspólnie z Dietrichem. „Polonia“ oparta lewą ręką na swej tarczy; obok stoi mężczyzna w polskim stroju, a z pod kotary zlatuje gołąbek, niosący słowa: „Inclinata Resurgit“. Na drugim młodzieniec w pancerzu, wiekowy mężczyzna w polskim stroju wyciąga rękę nad głową młodzieńca, a w palcach trzyma perłę. Obok wznosi się wspaniały łuk, przed nim na kuli ziemskiej spoczywa korona a na nim wielkiemi głoskami wypisano: Ex arduis immortalitas. Znowuż ten sam szary ton, co wraz z szeroką dekoratywnością w technice daje wrażenie wielkiego temperamentu, braku wszelkiej ckliwości — co wszystko tak zgodnem jest z tą sentencją, jaką podpisał jedną ze swych wielkich plansz miedziorytniczych:

Pictoribus atque poëtis
Quidlibet audendi semper fuit aequa potestas.

Marjan Olszewski.



CANALETTO: Z PRZEDSIONKA SASKIEGO PAŁACU.

STEFANJA ŁOZIŃSKA. 4)

O Pietrzku — co był nijaki.

(Ciąg dalszy.)

— Ono puść... bo ta spoczniemy... powiedziała.

Zniósł tedy wierutne brzemię ostu, które ciążyłoby dziewczynie i uznojeni posiadali nad wodą. Telo, że na wieczorze kłaniały się u potoka leszczyny — woda cichutko gadała, jakby z utrudzenia a dalekiego biegu, jeno siwa olszyna nie ustała, prątkami wywija a ino gnie się pod chłodny tuman, co się rozwinął hetki! — z dalszego potoka, w toń rozlanego.

Chwilkę pomilczeli.

— Pietrzek!... widzi mi się, coś ty nie barz taki, jak ludzie gadają...

— A jakże gadają? — spytał

— Cie - cie! zaśby ci zaraz?

Wlepił oczy w rumianą twarz, ciekawością świecącą.

— Noo?...

A ona wyciągnęła się na trawie, pokuśna młodością i warem,

— ...zaś gadaj! — nalegał, suwając wzrokiem po jej postaci.

Wtedy zwróciła k'niemu głowę i milcząc pozierała. Udał [1]) się jej, jakoże wielki i mocny był — więc naprężyła ramiona, splotła je potem u głowy i kusząco, zalotnie usta otwarła.

— A tobie na co?... i trąciła go ścieploną, ogorzałą stopą.

Zaczęło mu się dychać, więc tarł szorstkie dłonie i ciągle patrzał na wychylone k'sobie ciało dziewczyny, na pełzające po niej rozkołysane cienie kalin. Spieką mu płynęła...

— ...cobym wiedzioł — zająknął.

— jeee! — i przeciągła się rozkosznie, wyczekująco, co on-ci pocznie, kie [2]) ją uchyci...

A jemu znagła ona gorącość rozlała się bezwiednie po ściemżonej przestrzeni, po szarzejących olchach i skupiła w jakąś lubość, w której nie odróżniał dziewczyny od tego, co widział w okół. Kaśka czekała...

Przemocno niosła mu chorość zdradliwa nowe widoki, przemocno nachodziła go swoimi cudy... sam ci nie wiedział, jako się zmagała.

— ho! — zawiódł — jakoto we świecie tera... pozieraj!... na dobrą nockę — cheba — zawdziewają olsze one płachty i chwieją niemi... juści jako i człek...



CANALETTO: Z PRZEDSIONKA SASKIEGO PAŁACU.

Pilnie utkwiła pozior w parobku, krótki lęk zaświecił w twarzy dziewczyny.

— ...a ptaszyny?... nie baczysz, jako to ćwierkają inacy?... dy i my tak...

[1]) Podobał. [2]) Kiedy.

Dychanie krótkie mu się zrobiło i dziwnie łagodnie ozwał się do Kaśki:

— ...nie chodź... abo nam tu źle?...

Telo, że ona nie słyszała już tego. Porwała się, chustkę wiązała a u brzemienia węzeł poprawiać zaczęła.

Widniał w niej złośny lęk.

Tedy on pobrał ciężar na plecy i jeszcze z sennością uśmiechniętą poszedł za nią, już nic nie mówiąc.

Aże u wrot odebrała oset:

— E-dyć! dobrze gadają, coś nijaki!... — I zaparła furtkę.

A on ta nie wiedział dobrze, o co jej poszło: tak samo, jak i o insze nie wiedział.

Markotny przyszedł Pietrzek do dom.

Niesporo pobrał się do warzy... co uchyci zarzące polanko skrony poprawienia u trójnoga — to se palice opuści a drugą ręką skrobie sie po głowie abo ta rozchełstuje koszulę. A nie uzwoli [1]) go ta gadka, co ją ma w zamglonych, gdziesi za światem poglądających oczach — to ano przegibuje muskuły ręki i po plecach, aże do krzyży ciężko dostajęcy drapnie się w podłuż. Chwilkę wzrusza ramiony, jakoby z onym ciężarem, co go ma u dechu, wstrzymać nie mógł. Cosi mu sprawnie dolega... wichrzaty łeb ubierał się poświatłami płonących drew a po gębie raz wraz przechodziły skurcze odymających się warg.

— Jee — dyć... co tam Pietrzek?... co?...

Barz mu się żuło szczękami.

— Coby?... nic!

A stara mrugnęła.

Potem zwolna niby:

— ...był ci ta ono Kaścyn swok—zaczęła—cosi zgadywał niby na ono... przystanie do niw... ciągnęła. Juści rzeke, ja nie od tego... jako że dziwka porządna i z wianem a im ta potrza parobka šwarnego, coby sie zmógł na tela gazdowania, a baczom, jakoś jest chłop nie do darmowania... Rzeke — bardzok by to było...

— Jo ta nie za wianem... odburknął.

A stara plasnęła się po udach.

[1]) Uwolni.

— Jee! dy za czemże?

Nie odrzekł.

Ona, co go znała, tak mu przysiadła:

...cie-cie!... cmoknęła — mas parobka! dwie pięście w kupie i okrajka na plecach... hop-ciup!... Tfu!... — obraza boska! napluła mu pod nogi. Jezu ty Marja! — złapiła się za głowę — kara świata cy co?... Ono ci lepsze do góry brzuchem leżenie po hańtych lasach... hej? tłuc sie ta po wyrębach i smoleniem być jako i teraz?... Szarpnęła węzeł u chustki i nos utarła... abo to bić łbem o powałę a Kubowego Wojtka puścić, coby się ozpierał po syrokiej izbie Kaścynej?...

— ...ba-jako! przerwał.

— a ino?...

Zmiarkowała się.

— ...cobyś znał! Chałupa, gad wselaki, żywina, ornego hetki po Zgonie od granice... reszta dzieci na upłat... ja-byw ta nie marniała za odróbke mleka, a tybyś sie nie scharuwał na spuszczaniu buków. No?... Oni dobytek — ty robote... ociec stary, mało co skrzepi... no?...

— Ano by sie tak widziało... Kie...

— Kie?...

— Cy jo wiem... drapie się znowu.

— Moze by i było?

— ...Kaśka mi zaparła wrota...

— Patrzajcie!...

Aże broda się zatrzęsła u starej.

— ...możeś to z próżniakami jakimi... z ono chorościo?...

Zmilczał

— ...bo jo wiem, coś rad gadać nijako. [1])

Zżymnął sie i wstał.

Lica mu zbladły i świeciły potem, a stara dalej:

— ...nie ślipaj! ale prawde gadaj!...

Pietrzkowi zmieniło sie w chałupie do niepoznaku. Ono i rodna mu siepie: nijaki.

Jakoże?

Przeciek nie gada tego, co nie ma?... przeciek każdy patrzęcy, jako i on...

To-że se nie upatrzał w głowie, je... co uwidział, to i gada.

Stoi zgarbiony, jak ta-taki wielgachny pod oną nizką powałą — a tu mu sie wsuło, jakoby żaru, piekąco padło na wnątrze, maleńkie toto... ale dużo... dużo... padło, dołki wygryzło i nie zgasiło... a tak-ci bolą, bo wse sie zarzą, wse palą...

I scnił sie do lasa — po chłód, kojenie. Po przez palenie wnątrzne szukał cichej przestrzeni z zielonem podłożem, gładkimi pniami... szukał przeglądających promieni i blado-złotych plam, świecących rozlewnie...

I bezwiednie chciało mu się nastawić siebie onym; w szerokie chcenie brać drżące światło i w one blizny niegojone, w ono bolenie przedziwnej chorości, kłaść, gładzić żółtawym połyskiem, chłodzić te, te żary piekące.

Chłodu chciał!...

Upatrzył szumne korony... jako sie chwiały, nikiej boginki w mokradłach i nizko — hej! o ziem dotykając... z onej wyższości podniebnej nawiewały cichości — nie onej, co z pól abo i z gór na wieczór idzie, jeno takiej, co Bożą moc hań! u góry posiadły i one na wszelakie rany i dumy — na gadki, co nie znają końców — na wnątrzne strachy i niemoc siłę mają.

Nikt mu ono nie rzekł... sam spoznoł... z siebie wypatrzył... oni — ludzie... przemkło mu nikłym uśmiechem... nie spoznali, a on wie jako bywa. I prędko: dy! oni też przyjdą na to — przyjdą! Ino poczkać końdek...

— ...ho z dziopą to tak, jak i z żywiną! tu głaszczesz, a tu cie kopnie — przerwała matka — możeś ta nie uskubnoł ją choć kędy — ha?

Niewyraźnie spojrzał na nią, ale się już zmiarkował.

— Po co bym skuboł?...

— Jech! dy po to, niemraku, coby cie rada widziała — no!... Osobiś!... Tako ci przykazuję, cobyś sie zdatnie kole dziwki uwijał, potem na gazdostwie, to jak sie ta będzie widziało... a tera rodzicieli za nogi fytoj!... i będzie... A po próżnicy do niej nie gadaj i nijakiej ta ladacej pary nie puszczoj!...

A on sie zdumał nad tem, bo mu sie zmieszało i widział ci Kaśkę, jako szła schylajęcy po czerwone jagody. Chodzi se dziopiaga chaw-że, tam-że... jagody w pokłon lecą, płomienne wyciągają liczka, kie z prośbą. Tu ci sie uchylił okwiat biały, toki go tknęła zapaską — tam potrąciła mszystą leszczynę i pornęła pod wygładzone białością brzezinowe pniaki.

A on się podparł w boki i śpiewa... co śpiewa.. nie wie! O głosie to wie... ho! szeroko mu idzie, jak gościniec!... nie tak... jako rzeka... bo i fala trąca i gwarzy... i widzi mu się, tuli brzeg w przyciszne zarośla...

[1]) Ni to ni owo.

...nie skubałby... wiera — nie... jeno by się pobrali pod ręce i poszli.

Haj?...

A przed sie... w one pochmury... na ono wszystko, coby wiedzieć, jako hańty w głębinach modrawych zaczątek bierze... ciekaw był, to mu się bardzok udało...

I tak snem poszedł.

Rąbał i myślał: jako się to stało, co on już gazda...

Ono tak: ociec Kaścyn i swok przyszli raz, drugi — raz — aha! Potem - ci zaźrał do niw... posiadali... tabak zakurzyli... i siedzom.

Izba była pełna, bo i pić dajali.

Ono pozierajom na niego oglądajęcy niby onego wołu u targu — on ta syćko upatrzył ho — ho!

Matuś mu przekazali, coby pary nie puszczać, co uradzom, na to sie godzić, a sytko skrony żywiny i chałupy, stajań gruntowych i bogactwa.

Splunął... na co mu ono?...

Nie wiedział.

Cheba o babę... a juści i wesele ono z gęślami... hej! żebyż on umiał grywać — nocki by nie przespał, jeno wodził śpiewanki...

Telo wiedział, żeby go nie wzięli kie nie strach siły, co go miał u barków, ony wzrost, ręce jak węźliste konary a choćby i łeb czochrany, twardy jak skale u wirchów. Bez tą siłę go wzięli... w boki się ujął i rozśmiał. Oczami szukał, coby tu za dziw okazać, parło go z mocy wnątrznej.

...Niechaj! zakrzyknął parobkom, którzy sposobu szukali, aby odwieczny buk, podcięty trochę u dołu, wespół wyszarpnąć z ziemnej macierzy i pozbawić długiego życia.

— Niechaj!!...

Obrócili się do niego, a byli ta starzy i młodzi, brat Kaścyn i ona sama z dwojakami, jakoże połednie strzelisto u góry stanęło i poprzez gąszcze prażyło, darło się do rozpęków szczelin, do zsuszonych kępin.

— Waruj sie!... skoczył, osmolonemi rękoma porwał się na przegrube gałęzie, uwisł i całym ciężarem ogromnego ciała chciał przechylić drzewo.

— Waryjoku!... zakrzyknięto a równocześnie z zaciekawieniem śledzono dalsze ruchy Pietrzka.

— A nie uskoc w ces... pogroził Michał z Wybraństwa.

— Uskoc!... uskoc!... krzyczała Kaśka — kara świata!... o raty!...

— Jedyć abo on ta raz... dorzucali parobcy, sytka dech zaparli i patrzali, co będzie.

Pietrzek podwinął nogi pod sie, skurczył się cały i niby wielki szary węzeł zaczepił sie w omurszałych mchem konarach. Zebrał siły a ważąc podcięty pień i opór gałęzi wplecionych w inne drzewa, wyprężył się jednym, gwałtownym rzutem, pociągając buka.

Ale nie porada... włoknisty pień zadzierzył się w ziemię rozrośle, a podcięcie za małe było.

W tej chwili zapomniał Pietrzek o pochwaleniu się siłą — śmiech ów z dumy wywołany zanikł przekrótkim błyskiem a opór drzewa wybudził czujność jakowąś, jakoby nie z pniem a z żywą istotą się zmagał. Przy powtórnem szarpnięciu wyczuł, jak dygotały mu w rękach opory i głuszny trzask wchodził mu w żyły sino nabiegłe — niby to mowa a czyjś ból, z rdzeń utajony przelewał się co raz to szybciej, co raz to trwożniej z olbrzyma drzewnego w niego, co wyrywał rzutami mocnego ciała, on buk, tętnami wrosły w lasowe soki. Jakowaś litość miękko musnęła czoło Pietrzkowe — ano króciuchno szły mu niezasłyszane nigdzie jeszcze szmery życia, co sie niemo broniło... a w dalszych pod zgrubiałymi palcami odróżniał jakiesi drgnienia ruchawe, niby pogwary obrończe... niby szelesty proszące.. w bolu przeciągłe... rozpaczne... porwane w bezsilne włókna... I chciwość pokonania zatarła błyskawicznie ono litosne czucie, sprężył się w sobie, węzłami żył opęczniał i krwią nabiegły domagał się rzutami — pokonania. Jakowąś chęcią niezmożoną, wściekłą obiegł w złoście, śliną ociekł i coraz naremniej się rzucał, aże z ulgą poczuł, że one ruchy w buku ustały — zlały się w jedność bolesną, ostatnią... w siłę konania.

Zelżył, zrozumiał zwycięstwo, puścił ocierpłe wysiłkiem ręce i w bok uskoczył. Przodem ku parnemu południu słaniał się buk, bokiem uderzył o krzewy, obciął z sunięciem drobne łodygi wrzosów, sam wierzchołek opierając na smerekach, aże im szczyty pochylił... nad nim otwarła się spieka słoneczna i pilnie wypełniać poczęła mroki zielone.

Zcudowali się chłopi... takiego, myśleli o Pietrzku, niema drugiego... A onemu zwarło się w myśli i zimno poszło.

—...przeciek drzewo obalił — a tu mu się zdały drżenia bojaźne, proszące...

Więc rozgwar mu powstał wierutny, bo ono zmiarkować nie umiał, o co mu wewnątrz chodzi?...

Strach o buka?... opędził się a oto dzwoniło mu cosi rzewnie — przeciągle — cosi z lękiem a mocne — cosi małe a straszne, jak by grzechu wielkiego nabrał a zrzucić nie mógł...

I rozumieć by chciał, czy ono drzewo żyjące?...

Ciemno mu było, a w onej pełzały ciągłe, niepojęte odczucia tajemnic jakichś, niepewnych, trwożnych...

Strach go brał...

Ktoś rzekł: nie mamroc! cheba ta za buka godos?

Zaśmiali się kwardo z udanego śpasu.

— ....zdajało mu się, co ono grzych!... całkom jak w człeku...

Wzruszyli ramionami i rozeszli się do przerwanej roboty.

Jeno Kaśka labiedziła: ono poszedł, strawy zabaczył... niescęśnik! ano ja przy nim...

Choć ta wiedzieli, że go pewnikiem chorość wzięła, bez to ukrył się w lesie, ale jej nie pocieszali; bogaczka!! niech ta ma!! Mało to było innym do żeniaczki a nie taki?

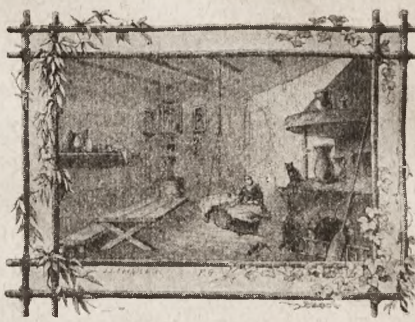
(Dok. nast.)

Wieś poleska.

(Opis i rysunki J. I. Kraszewskiego.)

Wsie poleskie, po większej części, zabudowane są długim sznurem jednostajnym; czasem w kilka różnie rozłożonych ramion, po nad stawem, ruczajem lub błotem. Nad czarnymi ich dachami drewniana kopuła starej cerkwi wychyla się z drzew, które ją ocierają, — żurawie studni i bliższych stogów, żerdzie podnoszą się gdzieniegdzie. Dokoła pasem czarnym obiegają lasy sosnowe, zarośle olchowe, brzozowe i leszczyna. Środkiem wioski ulica błotnista i karczma mniej więcej brudna i pochylona. Chaty stawiane są z bierwion sosnowych na mech, nie w słupy, ale w zacięcia (zamki) pospolicie nizkie, o jednem okienku od ulicy z słomianą matą, która za okiennicę służy. Dach z dranic lub słomy, na szopkach z słomy miętej lub wiszaru. Wrota wiodące w dziedziniec, prowadzą i do drzwi chaty, pospolicie ku podwórku zwróconych. Chlewy, obory, stodoły łączą się z chałupą i stanowią, co się zowie obejściem. Widziałem stare tego rodzaju budowle, w których podwórko w kwadrat otoczone było szopami i obozami, a chata w głębi. Gospodarz mógł pod dachem obejść całe swe gospodarstwo, ale też pierwsza iskra wszystką mu majętność zabierała...





A może ciekawi jesteście, jak siedziba bogatszego Poleszuka wygląda?

Właśnie w jednej z chat odpoczywałem i mogę wam ją opisać. Podwórko otoczone chlewkami różnego kształtu i wielkości, błotniste, ścieżką wydeptaną przedzielone wiedzie do sieni, w których duży wieprz karmny poufale chodzi i mruczy, wiedząc, jak jest ważną w domu figurą. Kilka kur sadowi się na belce do snu i trzepocze skrzydłami, mieszcząc się jak najwygodniej. Przez wysoki próg wchodzi się do białej izby, izby paradnej, w której jest piec, a na przedzie jego palą się skałki smolne. Koło pieca ława, w głębi poczęte krosna, kolebka dziecka i stół, także otoczony ławami. Ściany dokoła opasują ławy do nich przymocowane. Ku drzwiom stoi ceber, rażka, garnki na półkach, kwarta stara. W głębi, w kątku szanowna dzieża chlebna, poważnie zajmuje pierwsze miejsce pod obrazem błyszczącym N. Panny, która nad nią roztacza swój płaszcz gwiaździsty.

Nade drzwiami i oknami krzyże i symboliczne słowiańskie charaktery święconą kredą nakreślone,

lub wycięte pobożną ręką dziaczka, bronią wnijścia wszelkiemu złemu, na średniej belce widzę wyrzezany rok 1790, — stara chata!

Próżnoby tu kto szukał śladu podłogi, niema jej, tylko ubita ziemia. Okna maleńkie w części z okrągłych szybek złożone, a przemyślny gospodarz ściany swoje czysto wybielone od spodu do pół żółtą gliną pociągnął, żeby mu nowej świty nie bieliły.

Na ławie pod piecem siedzi stara kobieta z fajeczką w zębach, z oczyma wlepionemi w garnki; koło drzwi szczepie drzewka wysoki parobek z fajką także, a młoda kobieta kołysze dziecko, drzemie śpiewa.

Takiem jest wnętrze chaty...



PRAWDY I WSKAZANIA.

O uczuciach podniosłych i czystych.

Główną powinnością człowieka uczynić życie tak pełnem, szlachetnem i wolnem, jak tylko jest mocen i jak tylko jest zdolny. *I. Payot.*

*

„Nie każdemu jest danem być bohaterem, zwycięzcą, podziwianym, genjalnym lub choćby szczęśliwym w rzeczach zewnętrznych; ale nawet najmniej uprzywilejowany z pośród nas może być sprawiedliwym, uczciwym, łagodnym, życzliwym, szlachetnym; najmniej obdarzony może nawyknąć do patrzenia wokoło bez zazdrości, zawiści i niechęci; najwięcej wydziedziczony może przyjąć milczący udział, który nie jest najgorszym, w szczęściu otaczających go osób; najmniej zdolny może zrozumieć, czy potrafi przebaczyć urazę, wytłómaczyć błąd, podziwiać słowo lub czyn człowieka, a najmniej nawet kochany, — może kochać i szanować miłość“. *Maeterlinck.*

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Wacław Grubiński: Pocałunek. Z przedmową St. Przybyszewskiego. Warszawa 1906. Trzy krótkie nowelki: z tych jedna daje tytuł całej książeczce. Nazwisko autora dotąd nieznane, przykre więc robi wrażenie przedmowa Stan. Przybyszewskiego, która gorąco poleca „Pocałunek“. Po przeczytaniu jednak wszystkich trzech nowel, wrażenie to niknie; lepiej mówi o sobie sam talent, szczery i prawdziwy, niż najprzychylniejsze i z pod sławnego pióra płynące pochwały. P. Grubiński jest świetnym psychologiem. Nie daje w swych utworach żadnych typów ani charakterów — tylko ludzi, którym się tak i owak żyje.

Oto marzyciel jakiś i samotnik stoi pod oknem ukochanej — stoi w noc ciemną, jesienną i patrzy do wnętrza. Właśnie posłał list do niej, wspominający ten przedziwny, upalny „pocałunek“.

Młody aktor morduje starszego, który mu nie dozwolił zagrać „Hamleta“. A przyjaciel w łeb sobie palnął, bo zanadto pokochał kobietę; tak, że jej nawet nie śmiał wyznać swej miłości. Oboma władał pono bożek „Baal“...

Szkielety-streszczenia nie oddadzą nigdy istoty rzeczy. Książkę trzeba czytać.

Fel. Gw.

ZAPISKI.

Pamiątki po Staszicu w Pile. W rodzinnem mieście Staszica w Pile, przechrzczonej przez Prusaków na *Schneidemühl*, przechowało się po dzień dzisiejszy kilka pamiątek po tym niezapomnianych cnót obywatelu. P. H. Mościcki podaje w nr. 3. z br. „Tygodnika Ilustrowanego“ 4 fotografje z Piły, odnoszące się do Staszica, mianowicie kościół, tablicę pamiątkową Staszica w Pile, dom rodzinny i nieznany jego portret. Domek, w którym urodził się Staszic, znajduje się przy ul. Brauerowskiej pod nr. 118, właścicielem jego jest Niemiec, nie posiadający żadnych zgoła wiadomości o Staszicu. Poza marmurową tablicą pamiątkową wmurowaną w ścianę kościoła, oraz znajdującego się tamże portretu, wyobrażającego Staszica w wieku lat około trzydziestu — p. Mościcki nie natrafił na ślad innych pamiątek. Natomiast w księgach kościelnych udało mu się odszukać metrykę urodzenia St. Staszica, sporządzoną w dniu 6. listopada 1755 r. Brzmi ona, jak następuje:

1755.
November 6. Piła.
Ego Stanislaus Walter Canonicus Varsaviensis Praepositus Pilensis baptizavi Stanislaum Laurentium Spect.
Laurentii Stasic proc. pilen. et. Catharinae Mędlicka L. C. Filium Patrini fuerunt Spect. C.: Franciscus Piper et Dorothea Schönfeltowa.

(1755. Listopad 6. Piła. Ja, Stanisław Walter, kanonik warszawski, proboszcz pileński, ochrzciłem Stanisława Wawrzyńca Stasica (sic!) burmistrza pileńskiego i Katarzyny Mędlickiej. Rodzicami chrzestnymi byli sławetni Franciszek Piper i Dorota Schönfeltowa).

Drukiem W. A. Szyikowskiego we Lwowie, ul. Koperuika 5.